

Szcześliwy

10 września 2017

Ze stacji Bołogoje kolei Mikołajewskiej rusza pociąg osobowy. W jednym z przedziałów drugiej klasy „dla palących”, pogrążonym w mroku, drzemie pięciu pasażerów. Tylko co skończyli się posilać i teraz, przytuliwszy głowy do oparcia ławek, starają się zasnąć. Panuje cisza.

Drzwi się otwierają i do przedziału wchodzi wysoka postać w rudawym kapeluszu i eleganckim palcie, mocno przypominająca korespondentów, spotykanych w operetkach i powieściach Jules Verne'a.

Postać zatrzymuje się pośrodku wagonu, sapie i spod zmrużonych powiek długo patrzy w kierunku ławek.

– Nie, to nie ten... – mruczy – diabli wiedzą, co to takiego, wprost oburzające, nie, to nie ten...

Jeden z pasażerów przygląda się postaci i wybucha radosnym okrzykiem:

– Iwanie Aleksejewiczu, skąd się pan tu wziął? To pan?

Wysmukły Iwan Aleksejewicz wstrząsa się, bezmyślnie spogląda na pasażera, poznawszy go jednak, wesoło klaszcze w dłonie.

– Ach, Piotrze Piotrowiczu, kopę lat! A ja wcale nie wiedziałem, że pan jedzie tym pociągiem.

– Jak zdrowie?

– Nieźle, tylko, ot, dobrodzieju, zgubiłem swój wagon i nie mogę go teraz w żaden sposób znaleźć. Taki ze mnie idiota! Warto by mnie obić!

Wysmukły Iwan Aleksejewicz słania się i chichocze.

– Zdarzają się przecież takie wypadki! – ciągnie dalej. –

Wyszedłem po drugim dzwonku napić się koniaku, napiłem się i myślę sobie, że do najbliższej stacji jeszcze daleko, warto by więc może wypić jeszcze kieliszek. Kiedy więc myślałem i piłem, nagle trzeci dzwonek... pędzę, jak wariat, i wskakuję do pierwszego lepszego wagonu. No, czy nie idiota ze mnie? Nie cymbał?

– Widocznie jest pan w wesołym nastroju – mówi Piotr Piotrowicz. – Przysiądź się pan. Bardzo proszę.

– Nie mogę, pójdę szukać mego wagonu. Do widzenia!

– Po ciemku jeszcze pan, co nie daj Boże, z platformy spadnie. Siadaj pan, a gdy dojedziemy do stacji, odszukasz pan swój wagon.

Iwan Aleksejewicz wzdycha i z wahaniem siada naprzeciwko Piotra Piotrowicza. Jest widocznie podniecony i siedzi jak na szpilkach.

– Dokąd pan jedzie? – zapytuje Piotr Piotrowicz.

– Ja? W świat! W głowie mam taki zamęt, iż sam się nie orientuję, dokąd jadę. Wiedzie mnie los, więc jadę. Cha, cha! Kochany panie, czy pan widział kiedy szczęśliwych głupców? Nie? To niech pan patrzy na mnie. Ma pan przed sobą najszczęśliwszego ze śmiertelników! Tak jest! Nie poznać nic po mojej twarzy?

– Niby znać... że pan trochę... tego...

– Muszę teraz mieć strasznie głupią fizjonomię. Szkoda, że nie ma lustra, chciałbym teraz spojrzeć na moją mordolizację. Czuję, dobrodzieju, że odbywam podróż poślubną. No, czy nie fujara ze mnie?

– Pan? Czy się pan ożenił?

– Dzisiaj, mój najdroższy, wziąłem ślub i wprost na kolei.

Rozpoczynają się powinszowania i zwykłe zapytania.

– Acha! – śmieje się Piotr Piotrowicz – dlatego się pan tak wyelegantował.

– Tak, dla całkowitego złudzenia nawet się uperfumowałem. Po uszy pogrążyłem się w drobiazgach, Ani kłopotów, ani żadnych myśli, jedynie uczucie czegoś takiego... diabli wiedzą, jak to nazwać – błogości, powiedzmy. Nigdy jeszcze tak dobrze się nie czułem.

Iwan Aleksejewicz przymruża oczy i kręci głową.

– Jestem oburzająco szczęśliwy! – mówi. – Osądź pan sam. Pójdę teraz do swego wagonu. Tam na kanapie, przy oknie, siedzi kobieta, która całą swą istotą, że tak powiem, jest mi oddana. Blondyneczka taka, z noskiem, z paluszkami. Serduszko ty moje! Aniołku ty mój! Kruszyńka taka. Filoksera mojej duszy! A nóżka! Boże drogi, nóżka – to przecież nie to, co wasze nogasy, lecz po prostu jakaś miniatura, jakieś czarodziejstwo, alegoria! Chciałoby się wziąć i zjeść taką nóżkę. Cóż, pan nic nie rozumie! Pan jest materialistą, zaraz u pana to to – to owo. Kawaler o sercu oschłym – i nic więcej. Jak się pan ożeni, to sobie pan przypomni. – „Gdzie się teraz obraca Iwan Aleksejewicz?” – powie pan sobie. Otóż, pójdę zaraz do swego wagonu, tam mnie ktoś oczekuje z niecierpliwością, ma przedsmak mego zjawienia się. Wita mnie twarz uśmiechnięta, przysiadam się i tak dwoma palcami za podbródek...

Iwan Aleksejewicz kręci głową i zanosi się od szczęśliwego śmiechu.

– Potem kładę łepetynę na jej ramieniu i obejmuję kibić. Wokoło, rozumie pan, cisza... poetyczny półzmrok. Cały świat chciałoby się uścisnąć w takiej chwili. Piotrze Piotrowiczu, niech pan pozwoli się uścisnąć.

– Proszę bardzo.

Przyjaciele przy ogólnym śmiechu pasażerów ściskają się i szczęśliwy nowożeniec ciągnie dalej:

– A dla większego idiotyzmu, albo, jak tam piszą w powieściach, dla większej złudy – idę do bufetu i wychylam dwa, trzy kieliszki. Wtedy w głowie i w piersiach powstaje coś takiego, czego i w bajkach znaleźć trudno. Jestem niewybitnym, nieznanym człowiekiem, a zdaje mi się, że granic nie mam, że cały świat ogarniam.

Pasażerowie, patrząc na wstawionego szczęśliwego nowożeńca, zarażają się jego wesołością i spać im się odechciewa. Zamiast jednego słuchacza, Iwan Aleksejewicz wkrótce ma pięciu. Kręci się, jak na szpilkach, parska, wymachuje rękami i gada bez przerwy. Śmieje się i wszyscy śmieją się z nim razem.

– Grunt, panowie, to jak najmniej myśleć! Do diabła wszystkie te analizy! Chce ci się pić – to pij, a nie filozofuj, czy to pożyteczne, czy szkodliwe... Wszystkie te filozofie i psychologie do diabła!

Przez wagon przechodzi konduktor.

– Mój dobrodzieju – zwraca się do niego nowożeniec – jak pan będzie przechodzić przez wagon numer dwieście dziewiąty, to proszę poszukać tam panią w szarym kapeluszu z białym ptaszkiem i powiedzieć jej, że jestem tutaj.

– Dobrze. Tylko w tym pociągu nie ma numeru dwieście dziewiątego, jest tylko dwieście dziewiętnasty.

– Niech będzie dwieście dziewiętnasty. Wszystko jedno! Więc proszę powiedzieć tej pani: mąż jest zdrów i cały.

Iwan Aleksejewicz chwyta się nagle za głowę i jęczy:

– Mąż... pani... czyż to dawno?... mąż... Che, che! W skórę powinieneś brać, a jesteś mężem. Ach, idioto! A ona! Wczoraj jeszcze była dziewczątkiem... motylkiem... Nie chce się wierzyć...

– W naszych czasach nawet dziwne się wydaje spotkać szczęśliwego człowieka – mówi jeden z pasażerów. – Prędzej można trafić na białego słonia.

– Tak, a kto winien? – mówi Iwan Aleksejewicz, wyciągając swoje długie nogi w trzewikach z ostrymi nosami. – Jeżeli nie jesteście szczęśliwi, to samiście sobie winni? Myślicie, że nieprawda? Człowiek jest sam twórcą swego szczęścia. Jeśli tylko zechcecie, będziecie szczęśliwi. Ale wy nie chcecie, uparcie uchylacie się od szczęścia.

– Masz tobie! A to w jaki sposób?

– Bardzo prosty!... Przyroda postanowiła, aby człowiek w pewnym okresie swego życia kochał. I gdy okres ten nastaje – kochaj ze wszystkich sił, a przecież wy nie słuchacie natury, wciąż czegoś oczekujecie. Dalej, prawo mówi, że normalne indywiduum powinno się ożenić. Bez małżeństwa nie ma szczęścia. Trafiły się okoliczności sprzyjające – to siężeń, nie marudź. Ale przecież wy się nie żenicie, wciąż na coś czekacie. Dalej, powiedziane jest w Piśmie Świętym, że wino rozwesela serce człowieka... Jeżeli ci jest dobrze i chcesz, aby ci było jeszcze lepiej – to idź do bufetu i wypij. Grunt – nie mędrkować, jeno żyć według szablonu. Szablon – to wielka rzecz.

– Pan mówi, że człowiek jest twórcą swego szczęścia. Jakim, u licha, jest twórcą, jeśli dość chorego zęba albo złej teściowej, żeby jego szczęście wywróciło się do góry nogami? Wszystko zależy od przypadku. Niechby się z nami zdarzyła teraz katastrofa, to by pan zaraz inaczej zaśpiewał...

– Głupstwo – protestuje nowożeniec. – Katastrofy zdarzają się raz na rok, żadnych wypadków się nie boję, bo nie ma żadnej racji, żeby się zdarzyły. Wypadki są rzadkie. Pał je licho! Nawet mówić o nich nie chcę! Ale zdaje się, że dojeżdżamy do przystanku.

– Pan dokąd teraz jedzie? – zapytuje Piotr Piotrowicz. – Do Moskwy czy też dalej na południe?

– Masz sobie! W jaki sposób, jadąc na północ, mogę trafić gdzieś dalej na południe?

– Ale przecież Moskwa nie jest na północy.

– Wiem, lecz my jedziemy przecie do Petersburga.

– Do Moskwy jedziemy, zlituj się pan!

– W jaki sposób do Moskwy? – dziwi się nowożeniec.

– Dziwne... Dokąd pan wziął bilet?

– Do Petersburga.

– W takim razie wiesz. Wsiadł pan do niewłaściwego pociągu.

Pół minuty przechodzi w milczeniu. Nowożeniec wstaje i tępym wzrokiem ogarnia całe towarzystwo.

– Tak, tak! – objaśnia Piotr Piotrowicz. – Na stacji Bołogoje po koniaku diabli pana skusili wskoczyć do pociągu, idącego w odwrotnym kierunku.

Iwan Aleksejewicz blednie, chwyta się za głowę i zaczyna szybko biegać po wagonie.

– Ach, ciężki idiota ze mnie! – wyrzeka. – Podlec ze mnie, niech mnie diabli porwą! Co ja teraz zrobię?! Przecież w tamtym pociągu jest żona! Sama jedna... czeka... tęskni... Ach, błazen ze mnie!

Nowożeniec pada na ławkę, krzywi się, jak gdyby mu ktoś nastąpił na odcisk.

– Nieszczęsny ze mnie człowiek! – jęczy. – Co ja zrobię?... Co?...

– No, no! – pocieszają go pasażerowie. – Głupstwo... Zatelegrafuj pan do żony, a sam postaraj się wsiąść po drodze do pośpiesznego pociągu. W ten sposób ją pan dogoni.

– Pośpieszny pociąg... – płacze nowożeniec – „twórca swego

szczęścia”. – A skąd wezmę pieniędzy na kurier? Wszystkie pieniądze ma żona.

Porozumiawszy się między sobą, pasażerowie urządzą składkę i zaopatrują szczęśliwca w monetę.

Autorstwo: Anton Czechow

Tłumaczeni: A. W.

Źródło: WolneLektury.pl